

Mateusz Matyszkowicz: Język upadłej polityki

Bez języka nie ma polityki. Językowe źródło polityczności dostrzegał wyraźnie Arystoteles. Jednym z głównych uzasadnień politycznej natury człowieka była, według filozofa, właśnie mowa



Bez języka nie ma polityki. Językowe źródło polityczności dostrzegał wyraźnie Arystoteles. Jednym z głównych uzasadnień politycznej natury człowieka była, według filozofa, właśnie mowa

Polityka upada razem z językiem. W im mniejszym stopniu język wartościuje, hierarchizuje i porządkuje, tym mniej miejsca pozostawia na politykę. Razem z językiem i polityką upada jednak wolność. Zastępują ją oczywistość i konieczność.

Kiedy w dawnej Rosji wybuchł spór, który ostatecznie doprowadził do Raskołu, a więc schizmy w cerkwi, w której wyłonili się starowiercy, jednym z pól sporu była kwestia gramatyki. Część starowierców odrzucała gramatykę, ponieważ zajmuje się ona wyłącznie poprawnością formalną zdań i dopuszcza jako prawidłowe także zdania bluźniercze. Dla gramatyka zdanie „Boga nie ma” jest tak samo poprawne, jak zdanie „Bóg jest”. A to dla prawowiernych jest nie do przyjęcia. Według nich, są bowiem takie zdania, których wypowiadać się nie powinno, niezależnie od tego, że formalnie są poprawne.

Gdyby postulat starowierców przenieść na sferę polityki, oznaczałoby to jej śmierć. Polityka polega bowiem na dopuszczaniu do głosu zdań przeciwstawnych, także mylnych. Jeśli językoznawców prosi się o podanie specyfiki ludzkiego języka, to powiedzą, że – w odróżnieniu od innych systemów znaków – będzie on zdolny do wytworzenia nieskończenie wielu zdań. Ilość kombinacji znaków drogowych jest ograniczona. Ilość zdań, które człowiek może wypowiedzieć, nie ma końca.

Zdaje się, że to jest dobra podstawa do dyskusji o ludzkiej wolności i jej związku z polityką. Polityka, traktowana formalnie, jest właśnie możliwością dokonania nieskończonej ilości rozmaitych wyborów. Polityka jest wolnością, która swoją swobodę czerpie z nieskończonych możliwości języka do formułowania rozmaitych stanowisk.

Mowa Arystotelesa

Bez języka nie ma polityki. Językowe źródło polityczności dostrzegali wyraźnie Arystoteles. Jednym z głównych uzasadnień politycznej natury człowieka była, według filozofa, właśnie mowa. Nie chodziło mu jednak o zwykłą zdolność komunikacji – taką, jaką posiada większość zwierząt. Bo przecież inne zwierzęta również potrafią komunikować radość i ból. Sama zdolność sygnalizacji nie przeniesie nas w świat polityki. Człowiek jednak jako jedyny posługuje się językiem, w którym określać można to, co pożyteczne i szkodliwe, oraz sprawiedliwe i niesprawiedliwe. A więc to dopiero zdolność porządkowania sygnałów umożliwia aktywność polityczną.

To banalne z pozoru stwierdzenie ma poważne konsekwencje. Powtórzmy: polityka nie rodzi się z komunikowania tego, co sprawia radość i ból, ale z oceny i wyboru. Innymi słowy: polityka nie bierze się z opisu kondycji ludzkiej, ale z wyraźnego wartościowania w obrębie natury człowieka.

Oznacza to, po pierwsze, że polityka jest wyborem tego, co nieoczywiste i nie dane empirycznie. Polityka nie dzieje się w sferze, która jest bezpieczna i stabilna. Towarzyszyć jej musi właśnie niepewność dokonywania oceny i podejmowania nieoczywistych wyborów. O ile bowiem radość i ból jest oznaką wewnętrznych stanów jednostki i pokazuje jego stosunek do otoczenia, to sprawiedliwość przekracza jednostkę i odnosi się do pewnej zbiorowości. Komunikat radości i bólu – o ile jest szczery – nie może być błędny. Jeżeli ktoś mówi, że odczuwa ból, to – owszem – można mu nie wierzyć i brać go za symulanta. Powiemy wtedy: „Kłamiesz”. Nie powiemy natomiast

nigdy: „Mylisz się”. Jeśli chodzi o własny ból i własną radość, to błąd nie wchodzi w rachubę. Inaczej jest z kategoriami sprawiedliwości i pożytku. One z zasady swej są sporne i zakładają ludzką omyłność.

Po drugie, tak rozumiana polityka staje się dyskursem. Można ją ujmować jako walkę, można jako spór. Za każdym razem będziemy jednak mieli do czynienia ze starciem różnych racji. I jak zdania naukowe mają swoje kryteria falsyfikacji, tak i można – na swój sposób – określać warunki falsyfikacji zdań polityki. Będą to takie zdania odnoszące się do sfery publicznej, którym można w sposób sensowy i poparty argumentami zaprzeczyć.

Częścią ludzkiej kondycji jest niepewność, naturą natomiast człowieka jest dążenie do przekroczenia tej niepewności. Stąd bierze się spór, wymiana racji, przekonywanie i wybór. Stąd bierze się polityka.

Polityka jest zatem dynamiczna, a dynamikę nadaje jej właśnie dyskurs. Wszelako należy pamiętać, że jest to dyskurs skuteczny. Nie toczy się więc w nieskończoność, ale ma swój koniec. Tym końcem jest decyzja polityczna. Decyzja polityczna jest ucięciem sporu – nie zawsze można natomiast nazwać ją ostatecznym rozstrzygnięciem. Nie zawsze zwycięża racja obiektywnie lepsza. Zawsze jest to jednak racja, która jednostka wybierająca sama uznała za najlepszą.

Kryzys polityki

Tak rozumiana polityka przeżywa jednak kryzys. Jego powodów jest wiele, liczne są też konsekwencje. Pierwszy powód tkwi w nihilizmie epoki, która z rezerwą każe patrzeć na wszelkie próby obiektywizacji wartościowania. Polityczne wartościowanie ma charakter publiczny. To znaczy, że nasze wybory, aby były skuteczne, musimy wyrazić publicznie i doprowadzić do sytuacji, w której będą one respektowane przez innych.

Druga przyczyna jest jeszcze poważniejsza. Dla wielu współczesnych problemem jest nie tylko narzucenie własnego wartościowania innym, ale wartościowanie w ogóle. Konsekwencją odrzucenia hierarchicznej wizji świata, jest odmówienie ludzkiemu językowi prawa do zasadnego porządkowania rzeczywistości. Jeśli nie można powiedzieć, że coś jest lepsze lub gorsze, to spór traci swój sens. Przeradza się w kakofonię rozmaitych monologów, w swoisty Hyde park, kiedy to każdy może wejść na beczkę i głosić swoje nauki, ale nie będzie odnosił się do innych. Formalna wolność polityki pozostaje. Wydaje się, że nadal można wyrazić nieskończenie wiele stanowisk. Co więcej, wyglądałoby na to, że można to teraz czynić jeszcze łatwiej. W świecie, w którym nie dopuszcza się wartościowania, nikt nam nie może też zamykać ust. To świat politycznie doskonały. Uwieńczenie wielowiekowego pochodzenia ludów ku demokracji i pluralizmowi. Dzieje się jednak inaczej. Cóż z tego, że można mówić wszystko, skoro temu, co się mówi, nie można przypisać żadnej wartości. Jeśli nie można hierarchizować – nie da się także wybierać. Jeśli nie da się wybierać, to nasza wolność pozostaje tylko na sztandarze. Jeśli nie można wartościować, pozostaje już tylko wyrażanie radości i bólu. Obywatel tak naprawdę już mnie wybiera, ale określa swój emocjonalny stosunek do rzeczywistości. Reaguje bólem lub radością. Jest zadowolony lub niezadowolony i nie ma to nic wspólnego z tym, czy coś jest lepsze lub gorsze. Staje się w ten sposób

arystotelesowskim zwierzęciem przedpolitycznym. Takim, które nie potrafi wyrazić mową tego, co sprawiedliwe i niesprawiedliwe, pożyteczne i niepożyteczne.

Ta polityka, czy też jej surogat, zamienia się w koncert zwierzeń. Jest opowiadaniem sobie tego, co się doświadczało. Jest opowieścią o prześladowaniach, wypędzeniach. Wszelka próba obiektywizacji nie ma tu sensu. Wyzbycie się przez politykę języka wartościującego prowadzi do tego, co niektórzy nazywają postpolityką. Do piórek, które ukrywają niemoc. Do braku decyzji i wyborów pozornych. Niby język wysuwa się na plan pierwszy, ale jest on ubogi jak nigdy i pozbawiony podstawowego celu, jaki powinien mieć w ludzkim świecie – wartościowania.

Powrót do Arystotelesa

Wspólnota polityczna, polis, według Arystotelesa, jest częścią dążenia ludzi do tego, co im się dobre wydaje. Jest ciągłym dokonywaniem wyborów. A do tego zdolni są tylko ludzie wolni – ci, którzy wznoszą się ponad codzienne konieczności i oddają się temu, co specyficznie ludzkie. Powstaje stopniowo, ale też może upaść. Wspólnota polityczna nie jest koniecznością. Nie musi jej być. Sama w sobie jest czymś słabym i kruchym, podtrzymywanym w istnieniu ludzką decyzją. Człowiek może żyć bez polityki i pozostać homo ludens lub w najlepszym wypadku homo oeconomicus. Wieść niewolniczy żywot. Ludzi niewolnych charakteryzuje to, że dla nich nie istnieje świat poza koniecznością. Przypominają świnie szukające trufli, które nie odnoszą wyżej wzroku.

Z faktu, że człowiek może swoją mową wyrażać to, co sprawiedliwe i niesprawiedliwe, nie należy wyprowadzać wniosku, że zawsze tak będzie czynił. Człowiek jest wolny także w odniesieniu do tego, czy powstanie wspólnota polityczna. A więc tego, czy sam człowiek zdecyduje się na realizowanie własnej natury i przekroczenie niewolniczej kondycji. Nie będzie jednak wiódł wtedy życia dobrego. Dobre życie zależy więc od tego, czy tę potencjalność, która tkwi w naszym języku – możliwość formułowania dyskursu o sprawiedliwości – będzie realizował, a tym samym podejmie się życia godnego istoty wolnej. Co więcej, ten okaleczony język, którym przyjdzie mu się posługiwać, język bez tego co lepsze i gorsze, będzie zdolny jedynie do wyrażania konieczności, a tym samym pokryje zaledwie część rzeczywistości. A przede wszystkim nie wytworzy polityki. Człowiek będzie się nią brzydził, brzydząc się tym samym własnej natury. Odrzucenie dyskursu o sprawiedliwości jest w istocie pogardą dla samego człowieczeństwa i tego, co wyróżnia je w świecie zwierzęcym. Odrzucenie polityki jest odrzuceniem wolności i poddaniem się językowi, który widzi same ograniczenia, zamiast formułować nieskończoną liczbę możliwości. Język konieczności najbardziej lubią biurokraci. Daje im ona komfort bezdyskusyjnej słuszności, która ma charakteryzować ich decyzje. Nikt jak oni nie brzydzi się polityką. Nikt jak oni nie chce tak mocno świata politycznie niemego.

Mateusz Matyszkowicz

Tekst ukazał się w Nowym Państwie w 2009 roku